

L I T E R A T U R A N O R W E S K A

JOHAN NORDAHL BRUN

(1745—1816)

GÓRĄ NORWEGJA

Ten pierwszy puhar spełniam za kraj, Za bohaterskich Normanów!	Za przyjaźń drugą szklanicę staw, Za krasę dziewic północy!
Sen o wolności słodki mi daj, Sen miły wśród pełnych dzbanów.	Gdyś posiadał taką, swe szczęście sław, Pij zdrowie jej z całej mocy!
Gdy sen ten zniknie, to silna dłoń Zerwie łańcuchy, schwyci za broń!	Tego niechybnie dotknie mój gniew, Komu wróg wino, dziewa i śpiew!
Więc pierwszy puhar spełniam za kraj, Za bohaterskich Normanów!	Więc tę szklanicę za przyjaźń staw, Za krasę dziewic północy!

Za jodłę smukłą, za śnieg, skal mur
Kielichy ujmijmy w ręce!
Słyszysz! Śle echo z Doore nam wtór
I śle życzenia w podzięce!
Trzykrotnie dzięki wszecz brzmią i wzdłuż
Z tych skal, co groźnie sterczą wśród mórz!
Więc za tę jodłę, za skal naszych mur
Kielichy ujmijmy w ręce!

Tłum. Wł. Trąmpczyński.

HENRIK IBSEN

(1828—1906)

Z «PEER GYNTE»

*(Wilja Zielonych Świątek. Las górski. W pewnem oddaleniu na kawałku karczowiska
mała chata.)*

Peer (*przedziera się przez gąszcze*):

Oto stanowisko! Lecz cóż będzie dalej?
To, co jest najlepszego. Takiej ja się prawdy
Trzymałem do końca i wszędy, i zawdy.
Od samego, mówię, rzymskiego Cezara
Aż do trawożercy Nebukadnezara.
Zaczem się na biblji kończy moja praca,
Na łono macierzy cny staruszek wraca.
«Ze ziemi powstałeś!» — mówi Pan... Człek słucha.
Trzeba też pochodzić kolo swego brzucha!
Lecz czem go tu napchać? Tym korzonkiem z ziemi,
Cebulą? Nie syci! Wolę ja swojemi
Nastawić rękami sidelka... To cenię!
Woda jest w potoku. A więc mnie pragnienie
Nie zmoże. Dalibóg, jak na zwierza w lesie,

Żyję po królewsku! A gdy wiatr przyniesie
 I oną śmierć ku mnie — kiedy?... nikt to nie wie —
 Ulokuję kości swe w dziurawem drzewie.
 Jak niedźwiedź zagrzebię liśmi i na korze
 Wielkimi zgłoskami napis ten położę:
 «Zwierzę czworonożne, Peer Gynt, tutaj leży,
 Cesarz znamienity wszystkich innych zwierzy».
 Cesarz?

(śmieje się w duchu)

Stare brednie! Jeszcze-ć myśl ta hula
 Po głowie! — Tyś — cesarz? Nie, tyś jest cebula!
 Teraz cię, mój Pietrze, obłupię. Daremnie
 Wrzeszcz i krzycz, nie znajdziesz miłosierdzia we mnie!

(bierze cebulę i zdejmuje z niej lupinę po lupinie)

Ta wierzchnia lupinka w strzępach — o to chodzi —
 To biedny rozbiitek na strzaskanej łodzi.
 Ta druga tak wąta skórka pasażera —
 Z niej ci już wyraźnie Pieter Gynt wyziera.
 W tej w swem «ja» zamieszkał poszukiwacz złota;
 Chcesz z niej się wycisnąć? Daremna robota!
 Już go dawno niema, jeżeli był kiedy.
 Tą twardą, odgiętą może być od biedy
 Łowca fok w zatoce Hudsonskiej... Ta znowu
 Podobna koronie — dziadowskiego chowu.
 Precz z nią! W tej tu silnej a krótkiej znajdziecie
 Badacza, po dawnym chodzącego świecie;
 Ta świeża soczysta to prorok nielada,
 Cuchnący od kłamstwa, jak Pismo powiada...
 Aż ci gryzie oczy, taki zapach krzepak!
 A ten zasie listek wilgotny i lepki
 To ów pan bogaty, co życia używał
 Ta, jakby wrzodami osiana, pokrzywa
 Może za murzyna uchodzić i księdza.

(odrywa kilka naraz)

Co, lupa za lupą? A cóż to za nędzal
 Do jądra nie dotrzesz?...

(rozbiera całą cebulę)

Nie! Mocy najświętszal
 Do ostatecznego choćbyś dotarł wnętrza,
 Nic prócz lup nie znajdziesz! Pracy twojej szkoda!
 Coraz to niklejsze!... Ma dowcip przyroda.

(odrzuca resztę)

Niech czart to przeżuwa... Nie dla nas te myśli!
 Niejedni bez zmysłów z tych dociekań wyszli!
 Coprawda, nic z tego mnie się stać nie może:
 Dobrze mnie podpira moje czworonożę!

(drapie się w kark)

Osobliwym łowem zda mi się to życie!
 Polujesz na lisa, wiesz, gdzie ma ukrycie,
 Śnać go już schwyciłeś, a on zęby szczerzy
 I znika do innych, nieznanych ci leży —
 Ot, hultajska dusza!...

(przeciera sobie oczy)

Ten las? Ta hacina?

Coś mi się tej chwili jakoś przypomina —
 Jakbym znał ten domek — te rogi jelenia,
 Przybite nad drzwiami... Dziwne przypomnienie...
 A ta panna morska o rybim ogonie
 Od pępka... Nie! Nigdy! Pałą mi się skronie!
 To nie panna morska!... Te gwoździe... zawory...
 Zamki przeciw chochlom, przeciw myśli chorej!

Solwejga (*śpiewa w chacie*):

Co żyje, świąteczny przywdziewa dziś strój —
 Powrócisz z swej drogi, powrócisz,
 Ty chłopcze mój?
 Zbyt jest daleki
 Kres dla twych stóp;
 Ja czekam wieki,
 Czekam po sam grób!...

Peer (*podnosi się milcząco i śmiertelnie bład*):

Ktoś, co zapomniał — i ktoś, co w wierze trwał!
 Ktoś, co się stracił — i ktoś, kogo nie zgubił szal!
 O, grozo! To nigdy nie zmieni się, ach!
 O, trwogo!... Tu mego cesarstwa był gmach!...

(*znika w lesie*)

Peer (*rzuca się na próg*):

Osądź go! Sądź go! Grzesznik w tym progu!

Solwejga: Powrócił do dom! O, dzięki Bogu!

(*szuka go omackiem*)

Peer: Oskarżaj! Wyjaw wszystkie me przewiny!

Solwejga: Nic nie zawiniłeś, synku mój jedyny.

(*szuka go znowu omackiem i znajduje*)

Przez ciebie me życie nie przeszło bezpłodnie,
 Tyś je w pieśń zamienił! Bądź błogosławiony!
 Przyrzekłeś i wracasz w dom z dalekiej strony!
 A błogosławione niech będzie i rano
 Zielone — świąteczne, w którym mi jest dano
 Witac cię w tym domu! —

Tłum. Jan Kasproicz.

Z «DZIKIEJ KACZKI»

Grzegorz: Mógłby mi pan określić proces duchowy, który zachodzi teraz u Hjalmara?

Relling: Na honor, nie zauważyłem, aby tam się odbywał jakiś proces duchowy.

Grzegorz: Co! W takiej przełomowej chwili, kiedy całe jego życie otrzymało nową podstawę? — Jak pan może przypuścić, że indywidualność taka, jak Hjalmar? —

Relling: Ach, on indywidualność! Jeżeli miał kiedy jakie dane do tego rodzaju anormalności, którą pan lubi nazywać indywidualnością, to wszystkie te korzonki i pędy wyrwano mu z gruntu już zamłodu; może pan być tego pewny.

Grzegorz: To byłoby nie do pojęcia — przy tem ciepłym wychowaniu, jakie otrzymał.

Relling: Od znarowionych histerycznych starych panien, jego ciotek — tak pan sądzi?

Grzegorz: Powiem panu tylko, że były to kobiety, które nigdy nie zapomniały o idealnych postulatach; no — pan oczywiście znowu zakpi sobie ze mnie.

Relling: Nie, nie jestem do tego usposobiony. Zresztą, dobrze mnie poinformowano; on sam wygadał wiele z retorycznym rozmachem o tych dwóch swoich «duchowych małkach». Ale ja nie sędzę, aby miał jaką słuszną przyczynę być im za to wdzięczny. Całem nieszczęściem Hjalmara jest to, że uchodzi on zawsze wśród swoich za jakieś wielkie lumen...

Grzegorz: Czyż nie tak jest w istocie? Mianowicie co do głębi uczuć?

Relling: Nigdy nie czegoś podobnego nie zauważył. Że tak utrzymywał jego ojciec — nie racja; ten stary porucznik był przez całe swoje życie durniem.

Grzegorz: Był przez całe swoje życie człowiekiem o sercu dziecka; ale pan tego nie pojmujesz.

Relling: Przecież jednak! Kiedy kochany miły Hjalmar został studentem, i to z niemalym trudem, uchodził także i wśród kolegów za wielką gwiazdę przyszłości. Był przecież ładny — to pociągało — różowy i biały — tak jak to podlotkom najczęściej przypadają do gustu młodzi mężczyźni; a że miał przytem usposobienie uczuciowe, lekkie i sympatyczny ton w głosie i umiał świetnie deklamować cudze wiersze i myśli...

Grzegorz (*rozgorzyczony*): Mówi pan rzeczywiście o Hjalmarze Ekdal?

Relling: Tak, jeżeli pan pozwoli; bo tak wygląda od wewnątrz to bożyszcze, przed którym pan leży w prochu.

Grzegorz: Nie widzę, abym był tak zupełnie zaślepiiony.

Relling: A jednak niedaleko do tego. Bo pan jesteś człowiekiem chorym; i pan także, widzisz pan.

Grzegorz: W tem ma pan słusność.

Relling: A tak. Pan cierpisz na skomplikowaną chorobę. Najpierw ta ostra gorączka prawości; a potem, co gorsza, popada pan, jako fantasta, w delirium bałwochwalstwa; zawsze chcesz pan coś uwielbiać poza zakresem własnego toku życia.

Grzegorz: W każdym razie muszę tego szukać poza samym sobą.

Relling: Ale pan się ludzi haniebnie, kiedy pan widzi i słyszy koło siebie jakieś cudowne zjawiska. Ze swemi idealnemi postulatami zaszedł pan znowu do prostej chaty; w tym domu mieszkają ludzie niewypłacalni.

Grzegorz: Jeżeli pan nie ma o Hjalmarze lepszego wyobrażenia, to jak może pan znajdować w tem przyjemność, by z nim ciągle i nieustannie obcować?

Relling: Mój Boże, przecież mam być, z przeproszeniem, rodzajem doktora; no to muszę się oczywiście umieć obchodzić z chorymi biedakami, z którymi mieszkam w tym samym domu.

Tłum. Artur Górski.

PTAK I PTASZNIK

Gdym był dzieckiem, jam z jedliny
Strugał potrzask na ptaszyny
I radośnie wgłos wykrzykał,
Gdy się ptaszek weń zamykał.

Bez litości lup skrzydlaty
Do ojcowskiej niosłem chaty;
Śmiechem, krzykiem wśród swawoli
Zagrażałem ptaszka doli.

Gdym igraszek przebrał miarę,
Gdym wymęczył swą ofiarę,
Podnosiłem klatki zwory
Ku swobodzie na przestwory.

Ha! jak ptaszek stał się rączy,
Gdy niewoli czas się kończy!
Jak do światła lot rozwija!
Lecz — o szybko się rozbija...

Ptaszku! jesteś dziś pomszczony:
Chłopiec, w klatce uwięziony,
Wie już dawno, jak to boli
O przestworach snić w niewoli.

Tu na niego też się czają,
Srogie oczy wytrzeszczają,
Przejmującym widmem stoją
I morderczym strachem poją.

Kiedy okno chcę otworzyć
I wolności światłem ożyć,
Okiem pobiec aż za światy —
Pierś roztrąca się o kraty.

Tłum. Wawrzyniec Engeström.

BJÖRNSTJERNE BJÖRNSSON

(1832—1910)

Z «PONAD SIŁY»

Nieznajomy (*otworzył drzwi od werandy, nie zamykając ich za sobą, wchodzi nieśmiało, zatrzymując się*): Czy wolno mi powiedzieć kilka słów?

(*Wszyscy oglądają się, niektórzy wstają.*)

Superintendent: Czyżes to ty? Czyś pastor Bratt?

Inni: Pastor Bratt!...

Inni jeszcze: To jest Bratt!?!...

Superintendent: Tyś z nami nie przyjechał. Którędy tu przybyłeś?

Bratt: Poprzez góry.

Superintendent: Poprzez góry? Więc nie chcesz być na misyjnym zgromadzeniu?

Bratt: Nie. Chciałem tu być.

Superintendent: Rozumiem ciebie.

Bratt: Chciałem dotrzeć do cudu. — I tak przybyłem wczoraj właśnie, gdy lawina sunęła wdół. Stałem na szczycie opodal i słyszałem głos dzwonu. I później znów tam byłem. A dziś przed południem widziałem, jak chorego niesiono do kościoła; widziałem, jak ten chory powstał podczas śpiewu pastora, złożył dzięki Bogu i odszedł. Czy wolno mi dalej mówić?

Superintendent: Mów!

Bratt: Jam jest w wielkim uciśnieniu, bracia moi, i przyszedłem u was szukać pomocy.

Superintendent: Mów, kochany!

Bratt: Mówię sam do siebie: oto wreszcie stoję wobec cudu, a za chwilę pytam sam siebie: a jednak czy to jest cud rzeczywiście? — Z nadprzyrodzoną mocą porwało mnie to, com tu ujrzał. Tu wiara jest głęboka i prosta, a ten człowiek jest wielki. Ale znów zjawilo się wątplenie. I to jest przekleństwem mojem. — Przez lat siedem głosiłem to, w com sam nie wierzył. W tych siedmiu latach pytałem zawsze, gdy przyszły na mnie dni ciężkie — a przychodziły one często, tak jak i bezsenne noce — pytałem wśród modłów gorących: Gdzież jest ta moc czynienia cudów, którąś przyrzekł, Panie, twym wiernym!? (*Wybuch płaczem.*) Gdyby cud zjawił się między nami, tak wielki cud, iżby «wszyscy, którzy widzieli, uwierzyli»!... Najpierw przyszłyby miliony w biegu szalonym — wszyscy ci, co żyją w nędzy i tęsknocie — ci wydziedziczeni, bezdomni, uciśnieni, cierpiący; wszyscy, którzy pożądamy sprawiedliwości. Gdyby ci usłyszeli, iż Królestwo Boże, w starem tego słowa znaczeniu, znów zeszło na ziemię, gdziekolwiek bądź — w łzach radości, w szale, wiedząc nawet, iż w drodze ku niemu grozi im niebezpieczeństwo śmierci... Lepiej umrzeć na tej drodze, niż żyć na innej!... Oni wszyscyby przyszli, każdy ze swej wioski, swej chaty, swego łoża — chorzy byłiby pierwsi — wszyscyby dążyli ku objawieniu Bożemu!... Ale nietylko coby przyszli. Za nimi przyszliby wszyscy, którzy szukają na ziemi prawdy. Najpierw ci, u których popęd ku prawdzie jest najsilniejszy! Ci głębocy i szczerzy badacze, te wielkie duchy! Ich ogień byłby najwspanialszy, ich wiara najpotężniejsza. Bo nie brak im popędu ku prawdzie, nie brak im zdolności wierzenia. Nie. Im brak tylko cudu! Oni wszyscy chcą pewności i spokoju — odpowiedzi na to największe pytanie świata. Nawet ci lekkomyślni, którzy wiarę odtrącili od siebie, jako coś zupełnie im niepotrzebne i niemożliwe, wszyscy bez wyjątku tęsknią silniej, niż sami o tem wiedzą — tęsknią za wiarą. Ale dajcie im pewność! Dajcie im pewność, że przyrzeczenie się spełni. Gdy ujrzą, uwierzą i w to, czego widzieć nie będą... Panie mój! Boże! Stoję tu wobec ostatniej próby!

Superintendent: Pastorzle!

Bratt: Wobec tej ostatniej próby mojej. Bo ta walka jest ponad moje siły! (*Wybuch płaczem.*)

Superintendent: Synu mój kochany!

Bratt: Nie! Nie mówcie do mnie! — Proszę was! — Tylko módlcie się ze mną gorąco. Bo jeśli i tu cudu niema, to niema go nigdzie na świecie. — Ten człowiek jest wyższy nad wszystkich, najszlachetniejszy na ziemi! — Nikt nie widział wiary tak potężnej, któraby się mogła równać z jego wiara. I nikt nie ma takiej wiary w swą wiara.

Wszyscy: Tak, to prawda!

Bratt: Czyż to nie jest jasne? Przybył tu, będąc bardzo majątny, i rozdał wszystko. Niezliczone razy narażał swe życie, by innym nieść pomoc. I zliczyć się nie da ilość cudów, których on — jak lud wierzy — dokonał. I właśnie dlatego, że tyle ich było, nie wierzyłem w nie.

Pastorowie (*półglosem*): I ja tak samo.

Bratt: Ale właśnie możemy powinni byli myśleć przeciwnie, że w nim istnieje to, co winno się rozumieć przez słowo «wiara». Ta wiara przejawia się nazewnątr jako cud. Ona musi czynić cuda!... Gdy patrzę na ten nagi ciasny krajobraz, w którym nic nie słyhać, prócz okrzyku mewy, przychodzi mi myśl jedna: Królestwo Boże początek swój miało w kraju bogatym, pełnym słońca. Jak ogromne byłoby świadectwo, gdyby owo Królestwo znów w całej swej pełni zeszło na ziemię wśród tej krainy odległej, biednej, bliskiej wieczystego lotu!... I zdaje mi się, że to wszystko razem się łączy i cud przyjsć musi! (*Wszyscy powstali.*)

Superintendent: Oby przyszedł i obym ja, starzec, mógł go obaczyć!...

Bratt: Całe pokolenie potrzebuje wiary! A każde, które przychodzi, coraz bardziej... Stać się tu musi, jeśli jest! (*Kłęka.*) Jego wiara to zdobędzie. Gdyby on nie mógł, w takim razie wszystko jest niemożliwe!... W takim razie we wszystkim jest coś, czego osiągnąć nie można?... Coś, co jest ponad siły?

Tłum. Adolf Strzelecki.

OJCIEC

Człowiek, o którym tutaj chcę opowiedzieć, był najpotężniejszy w całej parafji, a nazywał się Thord Oeveraas. Pewnego dnia stał on w pracowni pastora, wyprostowany i z wyrazem twarzy poważnym. «Urodził mi się syn», powiedział, «i chciałbym go dać ochrzcić». — «Jakież mu nadasz imię?» — «Finn, tak nazywał się mój ojciec». «A kto będzie trzymał syna do chrztu?» — Oeveraas wymienił kilka osób — byli to najznamienitsi mężowie i kobiety z Bygde, z rodu Thorda. «Czy jeszcze czego sobie życzysz?» — zapytał pastor i spojrzał na niego. Wieśniak wahał się przez chwilę. «Chciałbym bardzo dać go ochrzcić oddzielnie» — powiedział. — «A więc w dzień powszedni?» — «Tak, w najbliższą sobotę o dwunastej w południe». — «I nie już więcej?» — zapytał pastor. — «Chyba już nic więcej». Wieśniak miał w ręku czapkę, jakby chciał odejść. Wówczas pastor powstał z krzesła. «Jeszcze tylko to jedno», rzekł, podszedł do Thorda, ujął jego rękę i spojrzał mu w oczy: «Daj Boże, aby syn przyniósł ci błogosławieństwo!»

Upłynęło od tego dnia lat szesnaście. Thord Oeveraas stał znów w pokoju pastora. «Jak ty świetnie wyglądasz, Thordzie!» — zawołał pastor, który po tylu latach nie dostrzegł w nim żadnej zmiany. «Bo też nie mam kłopotów», odpowiedział Thord. Przez chwilę trwało milczenie, potem pastor zapytał: «A czego dzisiaj sobie życzysz?» — «Przyszedłem dzisiaj względem mego chłopca, który jutro ma być konfirmowany». — «Pilnego masz chłopaka». — «Chciałbym zapłacić panu pastorowi, ale wprawdzie pragnę wiedzieć, jakie miejsce otrzyma on jutro w kościele». — «Będzie miał numer pierwszy». — «Dobrze, słyszałem o tem — tutaj proszę dziesięć talarów dla pana pastora!» — «Jakie masz jeszcze życzenie?» — zapytał pastor, patrząc na Thorda. — «Żadnego już więcej». — Thord poszedł sobie.

Minęło znów osiem lat, i oto pewnego dnia przed pokojem pastora usłyszano tupot nóg oraz donośne głosy; przyszła bowiem gromadka mężczyzn z Thordem na czele. Pastor spojrzał i poznał go natychmiast. «I pocóż przyszedłeś do mnie w tak

licznem towarzystwie?» — «Chcę ogłosić zapowiedzi; mój syn żeni się z Karen Storliden, córką obecnego tutaj oto Gudmunda». — «To przecież najbogatsza dziewczyna w Bygde». — «Tak mówią», odparł Thord i dłonią odgarnął włosy z czoła. Pastor siedział chwilę, jakby coś rozpamiętując; bez słowa zanotował w księdze nazwiska obecnych, oni zaś się podpisali. Poczem Thord położył na stole trzy talary. — «Należy mi się przecież tylko jeden talar», rzekł pastor. — «Wiem o tem, ale to mój jedynak — chciałbym zrobić jak najlepiej». Pastor przyjął pieniądze: «Już po raz trzeci zjawiasz się u mnie, Thordzie, i zawsze w sprawie swego syna». — «Istotnie, ale teraz uczyniłem już wszystko i nie będę się więcej fatygował dla niego», odrzekł Thord, złożył torebkę, pożegnał pastora i poszedł, a mężowie wolnym krokiem za nim.

W dwa tygodnie potem ojciec i syn przy cichej pogodzie wybierali się wodną drogą do Storliden celem omówienia uroczystości weselnej. — «Ławka źle jest ustawiona», powiedział syn i powstał, aby ją poprawić. W mgnieniu oka deska mu się z pod nóg wysunęła; wyciągnął gwałtownym ruchem ręce, krzyknął głośno o ratunek i wpadł do wody. — «Trzymaj się mocno wiosła!» — zawołał ojciec, podskoczył i podał mu je. Lecz syn, usiłując napróżno go się uchwycić, nagle znieruchomiał. «Czekaj, czekaj!» — wołał ojciec i jął szybko wiosłować, by znaleźć się obok tonącego. Wtem syn dostał się na powierzchnię, objął ojca długim spojrzeniem — i znikł pod wodą.

Thord nie wierzył własnym oczom; przestał wiosłować i utkwiał stężony wzrok w miejscu, gdzie syn się zapadł, jakby się miał znów wynurzyć. Wyskoczyło parę baniek wodnych, i jeszcze parę, a potem jedyna tylko duża, która przysła — i morze stało się znów błyszczące i gładkie jak lustro.

W ciągu trzech dni i trzech nocy ojciec wiosłował wokoło tego miejsca, nie jedząc nic i nie kładąc się spać; chciał wyłowić swego syna. I rankiem trzeciego dnia znalazł go i zaniósł sam przez wzgórze do swego domostwa.

Od owego dnia upłynął chyba rok cały. Aż oto pewnego wieczora jesiennego o późnej godzinie usłyszał pastor jakiś szmer przy drzwiach wejściowych i ostrożne szukanie omackiem klamki. Pastor otworzył drzwi, i do pokoju wszedł wysoki, lecz nieco pochylony mężczyzna, szczupły o siwych włosach. Pastor długo mu się przyglądał, zanim go poznał; był to Thord. «Cóż to, Thordzie, tak późno?» — rzekł pastor i stanął przed nim. — «Ach tak, jużci że późno», powiedział Thord, siadając. Pastor również usiadł; długi czas było cicho. Wkońcu rzekł Thord: «Przyniosłem tutaj coś, co chciałbym bardzo oddać biednym; pragnąłbym z tego utworzyć fundację, która będzie miała imię mego syna». — Powstał, położył pieniądze na stole i znów usiadł. Pastor policzył pieniądze. «To duża kwota», rzekł. — «Połowa to za mój dwór, który dzisiaj sprzedałem». — Pastor siedział długo w milczeniu; wkońcu zapytał łagodnie: «Co będziesz teraz robił, Thordzie?» — «Coś lepszego!» — Znów siedzieli czas jakiś, Thord z opuszczonemi wdół oczyma, pastor z wzrokiem zwróconym na Thorda. I oto powiedział pastor powoli i cicho: «Teraz sądzę, że syn twój wkońcu stał się dla ciebie błogosławieństwem». — «Tak, teraz i ja tak myślę», rzekł Thord; spojrział w górę, i dwie łzy stoczyły mu się ciężko po twarzy.

Thum. Emilia Rabicka.

NILS FINN

Wyruszyć miał w drogę Nils Finn mały,
Ale ciężkie buciska ledwo unieść się dały.

«A to źle!» głos ozwie się wdole.

I Nils Finn na śniegu stawia nogi:

Nie wadzę ci — precz! koboldzie złowrogil!

«Hi! ho! ha!» głos ozwie się wdole.

Nils Finn mierzy kijem to w lewo, to w prawo:

Widziałeś gór ducha nad śnieżną kurzawą?

«Hitlihu!» głos ozwie się wdole.

Aż jeden z butów utknął mu w śniegu —
Nils chce go pochwycić, lecz pada śród biegu.
«Oto masz!» głos ozwie się wdole.

Już po pas się pogrążył — tupie, miota się, klnie:
Coraz głębiej go ciągną jakieś czary zle.
«Będziesz nasz!» głos ozwie się wdole.
I skała zeń szydzi, śnieg dławi jak kleszcze,
Lecz Nils ściska pięść: «Nie poddaję się jeszcze!»
«Ale wnet!» głos ozwie się wdole.

I otchłań mu śnieżna już zieje u stóp,
A Nils Finn pomyślał: Ot, patrzę w swój grób!
«Mamy go?» głos ozwie się wdole. — —
W śniegu sterczą dwa buty, Nilsa skarb pacholęcy...
Spoglądają naokół, lecz nie było nic więcej.
«Gdzie jest Nils?» głos ozwie się wdole.

Tłum. Alfred Tom.

JONAS LIE
(1833—1908)

TROLD ŻLUD CZAROWNYCH

Trold żlud czarownych igrał swawolnie na dalekich przestrzeniach morza.

A mieszkańcy wybrzeża, na którym rozpostarła się niewielka osada rybacka, patrzyli wciąż ku krańcom horyzontu, kędy ukazywało im się tyle rzeczy, które mogły istnieć, lecz w rzeczywistości nie istniały z pewnością nigdzie. Czasem snuł się w powietrzu obraz wspaniałego miasta o niezliczonych domostwach i porcie, pełnym okrętów o strzelających w niebo masztach. Najdziwniej wszelako wyglądały góry, doliny i przylądki, tworząc tło zakątka, całkowicie podobnego do tego, w którym gnieździła się osada. Lecz ludzie doświadczeni wiedzieli, że wszystko to było złudą, którą wywoływał trold swywolny, i poczynali wiosłować szybciej, by oddalić się od owych zjaw niepokojących i nie zbłądzić z drogi.

Jeden tylko młody robotnik okrętowy, żaglownik z zawodu, odrywał się od swej pracy, ilekroć poczynano mówić o pięknie miście, ukazującym się wdali. Biegł wnet, by patrzeć na nie, na wybrzeże, i wpatrywał się w zdumiewające zjawisko z takim przejęciem, że zapominał o godzinach posiłku i ostrych napomnieniach chlebobdawcy. I myślał wówczas, że jest to jednak zbyt piękne, by miało być tylko złudą.

Pewnego dnia, gdy cudne blaski zajaśniały znów wdali na niebie, kontury miasta zarysowały się tak wyraźnie, że widać było nawet wszystkie załamy ulic. W porcie zaś zajaśniała tym razem latarnia morska, która zdawała się wskazywać drogę statkom.

Młody robotnik nie mógł zapanować dłużej nad sobą i, wskoczywszy do łodzi swego pracodawcy, począł wiosłować szybko w kierunku miasta. Musi wreszcie zdać sobie naocznie sprawę z rzeczy. I istotnie dotarł niemal do samego portu. Lecz, gdy dzieliło go od wybrzeża kilka już jeno uderzeń wiosła, zjawisko rozpięchło się nagle jak mara senna. Łódka znajdowała się wówczas w miejscu, gdzie chłopak widział był latarnię morską. Rozmyślał już nad tem przez chwilę, gdy nagle przyszło mu do głowy, by zarzucić tam właśnie wędkę. Po krótkiej bardzo chwili sznur przestał się rozkręcać, sięgnąwszy dna widocznie. A nigdy wszelako nie mówiono o tem, by istniały w tem miejscu skały podwodne. Chłopak począł wyciągać wędkę, szło mu to jednak z trudem. Wydało mu się jednocześnie, iż słyszy drwiący szept trollda, płynący z toni wodnej. Gdy wydobył wreszcie wędkę na powierzchnię, ujrzał zawisłą u jej haczyka niewielką muszlę; koncha jej mieniła się dziwnymi barwami, które olśniły źrenice chłopca, przenikając niemal do głębi jego istoty. A z ciemnych przepaści morza płynął wciąż szept cichy: «Zabrałeś mi — mówił — światło, co promieniało w mej latarni

morskiej, i będziesz widział odtąd wszystko w życiu w tajemniczych blaskach zwycięskiej jasności».

Powieki, przymknięte przez chwilę, rozwarły się znów. I oto powróciła znów zjawia cudowna: latarnia morska rzucała promienie na całą powierzchnię wodną. Chłopak zwrócił oczy w stronę osady — widniała przed nim, jak gród rozległy o niezliczonych domostwach, których okna płonęły czerwoną luną w blaskach zachodu. Przy miście — port, jeżący się lasem masztów okrętowych.

Gdy powrócił do osady i szedł pośpiesznie wzdłuż wybrzeża, zaczęto oglądać się za nim ciekawie, jakgdyby istotnie niósł w faldach swego odzienia tajemnicę morza. A on, minąwszy zakład, w którym pracował, biegł wprost ku jednemu z warsztatów ciesielskich.

«Każda rzecz istotnej doniosłości musi raz się zacząć» — odpowiedział właścicielowi warsztatu, pytającemu go o przyczynę nagłego jego przybycia. Dlatego też postanowił poprosić przedsiębiorcę o rękę jego córki. Kochał ją oddawna, znajdując w niej wzajemność, nie posiadał dotąd jednak nic zgola, czem mógłby się z nią podzielić. Teraz wszelako rzeczy mają się inaczej: odkrył nieznane dotąd nikomu rafy podwodne, które w godzinach odpływu znajdują się na kilka zaledwie stóp pod powierzchnią wody. Okręty, krążące po tych morzach, wynagrodzą z pewnością hojnie tego, kto wskaże im dokładnie miejsce, gdzie grozi im rozbicie. Rafy znajdują się nawprost zatoki; wznosząc więc w tem miejscu latarnię morską, możemy być pewni, że chronić się do niej będą wszystkie statki, które zaskoczyłaby w tej okolicy burza; zdobędziemy więc w taki sposób prawdziwą kopalnię złota dla nas i naszej osady... Chłopak mówił gorączkowo, a cieśla widział już w wyobraźni latarnię, ślącą wszędy swe promienie, i statki zawijające do portu. Przed oczyma córki jego widniały jednocześnie rozległe warsztaty, kędy tłumy robotników pracować będą pod ich kierownictwem. Nic istotnie nie stało na zawadzie ku pobraniu się dwojga młodych: przy wspólnym wysiłku wszystko pójdzie szybciej i lepiej.

Gdy w osadzie dowiedziano się o zamierzonym małżeństwie, zaczęto przypuszczać, że jakiś poważny spadek dostał się jednej czy drugiej stronie. Kiedy jednak rozeszła się wieść, że spadek polegał na rafie podwodnej, poradzono przyszłej parze, by osiedliła się na niej niezwłocznie, ale twarze starego cieśli i jego córki jaśniały takąż radością, jak oblicze młodego narzeczonego. Doszło też wkońcu do wiadomości ogółu, że pomysłowy chłopak zamierzał wejść w stosunki z właścicielami czy też kapitanami okrętów, by wzamian za pewne wynagrodzenie ostrzegać ich o istnieniu rafy podwodnej, jemu tylko znanej. Projekt ten zyskał mu uznanie wielu mieszkańców osady.

Pewnego wieczora sobotniego, gdy większość rybaków i marynarzy zebrała się, jak zazwyczaj, w oberży, by zażyć wypoczynku po tygodniowej pracy, nadszedł tam również i młody odkrywca i, wskoczywszy na stół, począł wywodzić, jakim dobrodziejstwem stałoby się dla osady wzniesienie latarni morskiej w miejscu, gdzie sterczą rafy. Wszyscy słuchali go w skupieniu, patrząc w daleką przestrzeń za ruchem wyciągniętych rąk jego; nigdy dotąd nie myśleli o niczem podobnem. Chłopak mówił, a oczy, utkwione wdali, dostrzegały już latarnię morską i okręty, przybijające do zatoki.

Mijały dni, a pomysł chłopca znajdował coraz więcej zwolenników. Urzeczywistnienie jego przedstawiało im się jako jedyny środek wyjścia z nędzy, na jaką skazywało ich życie, i zdobycia zamożności, a kto wie nawet, czy nie bogactwa. Ale poczucie bezsilności przygłuszało jeszcze poniekąd te marzenia. Lecz ten, który rozbudził je w tych mózgach, powtarzał wciąż, że nikt nie jest tak bezsilny i ubogi, by nie mógł zbudować swego szczęścia. Niechaj każdy z mieszkańców osady — rybak, cieśla, powroźnik — oddaje przez czas pewien piątą część zarobku na zbudowanie latarni morskiej, a suma niezbędna zbierze się w prędkim czasie. Zacznijmy tylko — mówił — budować podwaliny, i nie spostrzeżecie się nawet, gdy dotrzemy szczytu, na którym zabłyśną promienie latarni. A w słowach jego było tyle zapału, że każdy widział już oczyma wyobraźni latarnię, siejącą na przestrzeni morza cudowne blaski, i dostrzegał w tych blaskach, poprzez łączy nadziei, biedną osadę, przetworzoną we wspaniałe i potężne miasto.

Od dnia tego wszyscy poczeli istotnie oddawać część swego zarobku na wzniesienie latarni. I gdy rybak pozostawiał żonie i dzieciom zbyt mało na zaspokojenie najniezbędniejszych potrzeb, gdy cieśla, powroźnik, żaglownik, malarz borykali się z kłopotami i trudnościami — zachęcali się wówczas wzajemnie spojrzaniem i zdobywali na żarty z powodu swego głodnego żołądka. Mijały dni i miesiące, płynąc niewesoło pośród trudu i znoju, opromienionego nadzieją. Każdy ułożył już był sobie plan przyszłego istnienia i kierunku, jaki nada swemu przedsiębiorstwu. Kobiety również znosiły pogodnie ciężkie chwile życia i marzyły, przyspiewując zeicha, o pięknych sukniach i szalach, o złotych zegarkach, które przyrzekali im mężowie.

Nadeszła wreszcie godzina, gdy robotnicy, zebrani na dwóch tratwach wpobliżu raf podwodnych, poczeli zatapiać w morzu wielkie złomy kamienia. A w miarę, jak te podwaliny umacniały się i rosły, wzrastała również wiara w bliskie i niezawodne bogactwo. Budowano więc pośpiesznie, zbierając wciąż dobrowolny podatek. Obecując stale z sobą, mieszkańcy osady nie dostrzegali już u siebie wzajem wychudzenia twarzy i wyczerpania, ujawniającego się w całej postaci. W oczach błyszczał ogień, świadczący o gorącej woli i nadziei urzeczywistnienia wreszcie celu pożądań. Gdy zaś ten czy ów ulegał zniechęceniu, biegł wówczas do młodego żaglownika, którego zapal wskrzeszał znów przed jego oczyma wizję wielkiego i potężnego miasta, powstającego na wybrzeżu dzięki złotodajnej latarni.

I przyszła w końcu chwila, gdy latarnia owa zabłysła czarodziejskiem światłem, śląc je na wszystkie strony horyzontu. Tego wieczora jesiennego cała osada wyległa na wybrzeże, a każdą pierś ścisnęło jednakie wzruszenie. Bo wraz z tym momentem otwierała się dla ubogiego zakątka era szczęśliwości!

I istotnie praca zawrzała w nim żywo i składnie. Zarobki żaglowników, cieśłów okrętowych, powroźników powiększyły się znacznie. Główna ulica osady stała się prawdziwą niemal ulicą — powstał rynek. Wielkie nadzieje nie ziszczaly się jednak całkowicie; białe żagle sunących ku zatoce okrętów nie wypełniały horyzontu swym zwartym murem. Jednego roku zawińęły do niej dwa statki, następnego pięć, później siedem czy osiem, bądźto dla zaopatrzenia się w zapasy, bądź dla dokonania jakichś napraw. Młodzi i starzy, pełni rozczarowania, spoglądali teraz z pogardą w stronę latarni, spluwając z irytacją. Wzrastająca powoli osada rybacka nie była w niczem podobna do wspaniałego miasta, które młody żaglownik wywoływał przed oczyma ich wyobraźni. I gdy przypominali sobie długie dni ciężkiego trudu i nędzy, wysiłków i poświęceń, całą swą wiarę w przyszłość, przynoszącą spokój i bogactwo — rozczarowanie ich i zawód stawały się jeszcze boleśniejsze. I drwili wówczas z samych siebie, ze swych rojeń o olbrzymich składach i warsztatach, o wielkich domach kamiennych. Wylewali przed sobą wzajem żółć, nagromadzoną w sercach, lub wybuchi gniewem. Niektórzy chodzili nawet grozić młodemu żaglownikowi, pytając go, gdzie jest ów gród potężny, którego powstanie im przyrzekał. Kto, poza nim, zaznał dotąd z urzeczywistnienia jego projektów — dobrobytu i chwały?

On zaś wyciągał wówczas dłoń w kierunku latarni, która rzuciła na przestrzenie wodne swe jasne blaski, i poczynał mówić o warsztatach, którymi wypełni się wybrzeże z chwilą, gdy z powiększeniem się ogólnego ruchu okrętowego, wyrośnie przemysł miejscowy. Nadciągną też wówczas ze stron różnych przedsiębiorcy i rzemieślnicy różnych kategorii, powstaną okazałe sklepy i wielkie gmachy, zjawi się bank i ratusz, przybędzie niejedyn kościół, zdobny w wieżę i smukłe dzwonnice. I gdy tylko miasto nawiąże stosunki z handlem obcokrajowym, zaleje, niby morze, całą dolinę.

Słowa jego budziły znów w duszach zamarłą nadzieję. Gdy jednak z nadejściem zimy mieszkańcy osady opowiadali o swych ambitnych planach właścicielom statków, przystających w porcie — ci wzruszali tylko ramionami, uważając je za próżne złudy i rojenia. I zwątpienie powracało znowu, a wraz z tem wzrastał gniew przeciw żaglownikowi.

Któż bowiem wzniecił w duszach śmieszne rojenia i któż, jak nie ów obłąkaniec, umiał pociągnąć wszystkich za sobą, rozsnuwając im przed oczyma obrazy czarownej przyszłości. Teraz drwiono zeń coraz więcej. Gdy tylko zaczynał mówić o wymarzo-nym grodzie, rozlegały się wnet krzyki i śmiechy, zagłuszające głos jego. Chłopcy

uliczni gwizdali za nim szydlerczo i nazywali go pogardliwie «miljonerem». Wyraz «żagłownik» stał się terminem, podkreślającym przesadę i kłamliwe mamienie bliźnich. Najstateczniejsi i najrozważniejsi z mieszkańców miasteczka radowali się tej zmianie w stosunku ogółu do tego narwańca, którego zgodzono się wreszcie uznać za warjata. Dwa razy dwa będzie znów znaczyło cztery, a nie sześć czy siedem, jak działo się w okresie jego wpływów. Wszystko cenione będzie według właściwej miary i sądzone według właściwego znaczenia.

I do miasteczka powrócił duch spokoju i chłodnego zastanowienia. Dbając wyłącznie o własny, bezpośredni interes, ludzie pracowali na chleb codzienny. Spokojne i znudzone kobiety szyły lub krzątały się około zajęć domowych. Spokój i cisza zajęły ulice. Tylko młody żagłownik trwał nadal w swych marzeniach, to też zdecydowano się wkońcu zamknąć go w szpitalu warjatów.

I gdy wzrok czyjś padał na latarnię, człowiek ów wyglądał wówczas, jak ktoś, co ostrzega innych przeciw rojeniom i wyuzdaniu fantazji, prowadzącym na szczególnie drogi. Że zaś przedsiębiorczość i pomysłowość uważane były za zły owoc dawnych marzeń o wielkości — więc wykreślono je z całą stanowczością z życia, jak wykreślono z niego wszelkie porywy ku rzeczom nowym, nieznanym jeszcze i niepewnym. Miasteczko usypiało powoli w ciasnej sferze swych codziennych interesów. Ludzie pracowali mechanicznie, jak ci, którym nie przyświeca żadne słońce. Nigdy już na wybrzeżu nie było słychać wesółych pieśni, które towarzyszyły pracy w okresie wielkich nadziei i wielkich pomysłów.

Tylko żagłownik, zamknięty w swej celi, wpatrywał się długo wieczorami w światło latarni. I na jego ustach wykwitał uśmiech, bo w głębi źrenic przechował był na zawsze światłość zwycięską. Więc uśmiechał się, jakgdyby latarnia rzuciła istotnie blaski na gród wspaniały i zwycięski.

Przekład bezimienny w «Literaturze i Sztuce» (1912).

ARNE GARBORG

(1851—1924)

STARZY I MŁODZI

Spytałem raz pewnego starca: «Czego nauczyło cię życie?»

Spojrzał na mnie wzrokiem, nawykłym do patrzenia wdał, i odparł: «Młody byłem i wiedziałem wszystko. I nie skąpiłem swojej wiedzy innym: dzieliłem się tem, com wiedział i czego nie wiedziałem, i dziwiło mnie, że moje wielkie słowa nie zdobyły świata. Żal mi było starych ludzi, którzy już nie mają na co czekać. Ale gdy mówili o życiu i chcieli mnie pouczyć, czem ono jest, śmiałem się. Mrugałem oczyma do swych rówieśników, mówiąc: — Biedaki ci starcy, co oni wiedzą o życiu, którego zapomnieli!

«Dojrzewałem zczasem, przechodziłem dobrą szkołę. A była to szkoła, o której istnieniu nie wie, kto jej sam nie przechodził. Nauczycielem w niej był ogień pożądania, a nauką — rozczarowanie. A szkoła trwa długo, bo złud jest dużo i coraz to nowych, w miarę nowych pragnień. Nie dostanie ci się to, czegoś pragnął; albo otrzymasz, ale właśnie nie to, czego chciałeś, lub wreszcie uzyskasz, czegoś pożądał nato tylko, aby utracić natychmiast. Prace twoje mało ci przyniosły pociechy. To, na czem najbardziej polegałeś, stało się twoim upadkiem i zgubą. Ci, od których spodziewałeś się pomocy, byli kamieniem na drodze twojej i siwym włosem na twojej głowie. — Do tej to szkoły chodziłem. I uczyłem się a uczyłem. A im więcej się uczyłem, tem mniej umiałem.

«Dziwne cię ogarnia uczucie, gdy znajdziesz się po drugiej stronie widnokregu: widzisz, że wszystko jest inne, tak zupełnie odmienne; wtedy powtarzasz raz wraz: — Życie jest kłamstwem. — I bardziej, coraz bardziej przerażony stajesz i wpatrujesz się w ten świat niebieski, wyglądający tak głupciwie — zda się wkońcu, że nie nie rozumiesz. I pytasz sam siebie: Będęż jak głupiec chodził po tym świecie?

«Ale to jeszcze nie wszystko. Nie skończyłeś nauki, jeżeli poprzez fałsz i kłamstwo nie dojrzałeś prawdy. A do tego daleko. — Pewnego razu stanąłem bezradny i upadły na duchu i spojrzałem w przeszłość — wtedy to zapewne posiwialem. Gdy strach mnie zdjął i trzymał mnie długo. Poznałem i głośno przyznałem się do tego: Zaprawdę, teraz jesteś stary, a życie twoje skończyło się, przepadło marnie; powiedz mi, mój pocziwczu, coś z niem uczynił? — Niema odpowiedzi.

«Jałem tedy uspokajać się, jak uniałem najlepiej — i pocieszyłem się, jak zwykle bywa. A mężowi, który żył w błędzie, a potem wejrzał w siebie i ocknął się pełen lęku i męki, pociechą są słowa: Będę świadectwem dla innych, dla młodszych mych braci, aby nie popadli w tę samą nędzę. Wtedy powie sobie: Przynajmniej nie żyłem napróżno. Przeznaczeniem życia mego było, aby gorące moje pragnienia uczyniły mnie nauczycielem, kierownikiem innych. I braciom swoim młodszym, tym, którzy jeszcze mieli swobodę i mogli pójść drogą, którą sami obiorą, dowodziłem: — Bądźcie rozumni! Nie wiercie życiu! Ono wydaje się tem, czem nie jest. Wszystko, za czem my, szaleńcy, ubiegamy się, to mrzonka, to głupstwo, to błędny ogień, który wabi nas na manowce, a gdy, znalazłszy się na nich, nie możemy znaleźć wyjścia, on zabłyśnie i zniknie nam z przed oczu. — Wtedy śmiali się młodzi. Mrugali do siebie oczyma i mówili: — Biedni ci starzy, co oni wiedzą o życiu, o którym zaponnieli! —

«To była także lekcja. I mnie ona wystarczyła. Młodzi nie mogą nauczyć się od starych, inaczej byłiby sami starzy i nie posiadaliby odwagi życia. A tylko ten może coś zyskać, kto ma odwagę. Dlatego istnieje rozdział między starym a młodym, i nie mogą się oni zrozumieć. Każdy z nich, stojąc po swojej stronie ulicy, przemawia swoim językiem. Każdy musi sam poznać niebezpieczeństwa życia i jego niedolę. — I nie ty, lecz ja — powiada ogień pożądania — jestem przeznaczony, aby stać się nauczycielem młodych. Ty bądź zadowolony, gdyś przyszedł do przekonania, że możesz być sam sobie nauczycielem.

«Umilkłem. Ogarnęło mnie wielkie zwątpienie, ale był i spokój w tem zwątpieniu. I przyszły mi nowe myśli, spokojniejsze niż dawne: może to rzecz najważniejsza dojść do tego, aby sobie samemu być nauczycielem? Zbudziła się we mnie wielka pobłażliwość i z uśmiechem patrzyłem na gorączkowe usiłowania młodych, aby świat zawojuować. Właściwie żal mi ich — tak daleko mają, a czeka ich tak dużo przejść!

«Kiedy mówią mi o życiu i chcą mnie pouczyć, czem ono jest, śmieję się, mrugam okiem na swych rówieśników i powiadam: Biedni ci młodzi, co oni wiedzą o życiu, którego nie poznali! — I z głębi serca wyrażam życzenie: oby posiadali w sobie jak najwięcej tej młodości! Bo tylko przez prawdziwą młodość wie dzie droga do mądrości.»

Tłum. Józefa Klemensiewiczowa.

KNUT HAMSUN

(ur. 1859)

Z «PANA»

...Jedynym mym powiernikiem był las i samotność. Nigdy równie chciwie nie szukałem samotności, jak podówczas. Wiosna była w pełnym rozkwicie; błyszczały pierwiosnki i śniegulki. Roilo się od zięb, szczygłów i sikorek; wszystkie ptaki rozpoznałem. Czasem dobywałem z kieszeni dwie monety dwudziestoczołtrowe i po-brzękiwałem niemi, aby przerwać ciszę i samotność. Myślałem nawet: a gdyby tak przede mną wyrosli z pod ziemi Dyderyk i Iselina¹?

Noce ustały zupełnie; słońce zapadało tylko w morze i wschodziło znowu czerwone, odmłodniałe, wypitą wodą głębin pokrzepione. Nikt nie uwierzy, o czem mi się nie troiło podczas tych nocy. Pewno kozłonogi Pan siedzi sobie w dziupli — myślałem — i podpatruje mnie, hultaj. O, jak się to skurczył, jak się zwinął w kłębek, jakby chciał z własnego brzucha żłopać. Chytra sztuka! A to wszystko poto, aby mię zpedelba lepiej obserwować. Ja zaś, jakby nigdy nic, idę własnymi zajętymi myślami

¹ Postacie z legendy norweskiej.

i czuję, jak on tam w dziupli śmieje się do rozpuku, że aż pień spróchniały się trzęsie!

Wszędzie wokół tętniło w borze nieustanne życie. Zwierz bobrował w gęstwinie, a ptaki wabiły się, napelniając powietrze swym krzykiem. W roku tym właśnie przy-padła rójka chrząszcza majowego. Bzyk tysiąca skrzydeł mieszał się z trzepotem nocnych ciem; rzekłbyś: z końca w koniec idą dziwne szepto po borze. Toż to było nad czem głowę sobie łamać! Trzy noce zrzędu nie spałem, myśląc o Dyderyku i Iselinie.

A gdyby się tak zjawili? Jakbym ich widział: Iselina wabi pod drzewo Dyde-ryka i szepeze mu:

— Nie odchodź, luby. Bacz dobrze, pilnuj Iseliny. Ten strzelec, tam, musi mi zawiązać rzemień u moich ciżemek.

Iselina patrzy na mnie znacząco, bo ja jestem tym strzelcem, który ją rozu-mie. Na jej widok serce moje rozumie wszystko i już nie bije, ale wali w piersiach.

— Zawiąż mi ciżemki — mówi mi, rumieniając się cała, a potem szepeze tuż przy mojej twarzy, prawie na moich ustach: — Nie, tobie nie śpieszno obuć moją nóżkę, nie śpieszno ci, nie, ty mnie nie obujesz...

Krag słońca zapada w morze, po chwili wraca czerwone, odmłodniałe, wypita wodą głębin pokrzepione. Powietrze rozbrzmiewa od szeptów.

Odchodząc, żegna mię ruchem ręki, twarzyczka jej pali się, delikatna jej twa-rzyczka. I znowu odwraca się i żegna gestem. W tej samej chwili Dyderyk wysuwa się z za drzewa i woła: Coś ty zrobiła, Iselino? Widziałem wszystko. A ona odpo-wiada: — Cóż mogłeś widzieć? Nic nie robiłam. — Ależ tak, ależ tak — mówi znów on — widziałem, Iselino.

Wtem ona nagle wybucha głośnym wesolym śmiechem i odchodzi z nim rozra-dowana. A wiecie dokąd? Do następnego strzelca w lesie...

Liście żółkną coraz bardziej, jesień za progiem. Coraz więcej gwiazd wysiewa się o zmierzchu, miesiąc majaczyć zaczyna jak cień, utkany ze złota i srebra. Niema mrozu, tylko zimna cisza drzemie w lesie. Drzewa stoją nieme i dumają. Tu i owdzie spadnie w trawę dojrzała jagoda... — Tak nadszedł dzień 22 sierpnia, a z nim trzy «noce żelazne»¹.

Pierwsza «żelazna noc». O godzinie dziewiątej chowa się słońce. Matowy mrok powleka ziemię, kilka gwiazd błyska, wreszcie i księżyc się wylania. Ze strzelbą na plecach i z Ezopem chodzę po lesie i zbieram chróst. Blask mojej watry oświetla pnie sosen. Mrozu jednak niema.

Pierwsza «żelazna noc» — mówię do siebie — i na myśl tę wstrząsa mną osza-lamiająca radość...

Hej ludzie, zwierzęta i ptaki! Hosanna samotnym nocom w lesie! Hosanna zmierz-cho-m i szeptom Boga w liścia łopocie! Hosanna słodkim jednostajnym szmerom ciszy w mem uchu, liściom pożółkłym i liściom zielonym jeszcze! Hosanna życiu, które słyszę w węszeniu psa w trawie, które tkwi w gotowym do skoku żbiku, zaczajonym w ciemności na lichego wróbla! Hosanna litosnej ciszy, która objęła ziemię, gwiazdom i sierpowi księżyca, hosanna wszystkim oraz wszystkimu...

Podnoszę się i nasłuchuję. Nikogo nigdzie. — Nikt mnie nie mógł słyszeć. Znów siadam.

Dzięki, o, dzięki za noc samotne, za mrok, za wycie morza, które rozbrzmiewa wskroś mego serca! Dzięki za życie, za oddech mój, za łaskę, że żyję w takie ciche noce, dzięki, o, dzięki serdeczne! Nasłuchuj ku wschodowi, nasłuchuj w zachód, o, słu-chaj! W płomieniach mego ogniska drżą misterne pajęczyny ze złota, gdzieś wdali na morzu łódź się chwycie i pluska, sklep nieba błyska zorzą północną. Na nieśmiertelną duszę moją! Dzięki, o, dzięki, że to ja jest, który tu siedzę i patrzę...

Cisza. Oblamana gałąź jodły spada głucho na trawę. Gałąź jodłowa upadła — myślę

¹ Podczas «żelaznych nocy», między dniem 22 a 28 sierpnia, pojawiają się w tamtych oko-licach pierwsze przymrozki (*Przyp. aurora*).

w duszy. Miesiąc wybiegł wysoko na niebo, watra dogasa, polana jej wnet się dotła. Bardzo późną nocą wracam do domu.

Znów druga «żelazna noc». Taż sama cisza, toż samo ciepłe powietrze. Dusza moja odprawia ciche medytacje. Machinalnie zbliżam się do jakiegoś drzewa, naciśkam czapkę aż po uszy i z przechyloną wstecz głową opieram się plecami o omszały pień, zaplótłszy ręce wyl. Patrzę w próżnię i myślę; płomień mej watry razi mię w oczy, jednak nie czuję tego. Długo stoję tak z utkwionem w ogień okiem. Wreszcie nogi odmawiają mi służby. Gdy już zupełnie zdrętwiały, siadam na murawie; teraz dopiero na myśl mi przychodzi, że niepotrzebnie patrzyłem tak długo w płomień.

Ezop podnosi leb i nasłuchuje. Czyjeś kroki...

Trzecia «żelazna noc». Gdyby choć trochę chłodu, trochę mrozu! Zamiast zimna — powietrze rozgrzane spiekotą dnia; poprostu ciepłe bagnisko, parne i duszne. Nałożyłem kupę chróstu...

Przysuwam się bliżej do ogniska i wpatruję w żar. Sucha gałąź jodłowa spadła z wierzchołka. Noc głucha i ciemna. Zamykam oczy.

Po godzinie takiego odrętwienia poczynają moje zmysły kolysać się w pewien rytm — rytm tej niezmiernej ciszy nocy i lasu. Podnoszę oczy na księżyc, który tkwi w niebie, jak biała muszla, i uczuwam coś jakby miłość dla niego i rumienię się. To księżyc! — szepecę namiętnie — tak, to jest księżyc! Serce moje uderza dla niego. Trwa to kilka minut. Nagle podmucha jakiś mnie muska, jakiś zupełnie obcy powiew. Co to może być? Oglądam się i nie widzę nikogo. To wiatr woła mnie. Dusza moja lgnie do tego cichego wezwania, czuję, że wypadam z równowagi, że tulę się do jakiejś piersi. Oczy moje zachodzą łzami... Drzę na całym ciele... Trwa to kilka minut. Za chwilę nie czuję już tego dziwnego ucisku powietrza, odwracam głowę i widzę jakby plecy jakiegoś ducha, który niknie w gęstwinie...

Chwilę jeszcze walczę z ciężkiem oszołomieniem, wreszcie, zupełnie wyczerpany i śmiertelnie znużony, zasypiam.

Tłum. M. Szukiewicz.

Z «BŁOGOSŁAWIENSTWA ZIEMI»

(Osadnik leśny Izak mieszka na pustkowiu z żoną Inger i dziećmi; od pewnego czasu robotnicy przeprowadzają nad traktem wpobliżu linję telegraficzną i znajdują pomieszczenie w osadzie.)

...Przywędrował ze wsi jakiś człowiek z dużym tornistrem na plecach. Wręczył robotnikom kilka butelek, poczem zaraz się oddalił. Lecz po jego odejściu zniknął jakoś dotychczasowy spokój na Sellanro; zabrzmiała harmonika, rozmawiano głośno, śpiewano i tańczono na podwórzu. Jeden z robotników zaprosił Inger do tańca, a Inger — tak, kto ją przeniknąć zdoła? Chichotała i tańczyła kilka razy wkółko. Potem przyszli inni, którzy także chcieli z nią tańczyć, no i tańczyła żwawo i wesolo jak się patrzy.

Kto zdoła przeniknąć Inger! Tańczyła tu może pierwszy swój błogi taniec. Ubiegali się o nią; — trzydziestu chłopów, a ona sama jedna, jedyna, bez rywalki! A jakże mocno o nią się dobijali, dziarskie chlopy owi robotnicy przy telegrafach! Czemuż więc nie potańcować? Mimo hałasu na dworze Elizeusz i Sywert spali w izbie jak zarżnięci; Poldynka jednak była jeszcze na nogach, przy zabawie, i zadziwionemi oczyma przyglądała się skokom matki.

Izak tymczasem cały czas po wieczery bawił w polu. Gdy wrócił na spoczynek, jeden z robotników poczęstował go z butelki, więc pociągnął łyk jeden, nie więcej. Usiadł, wziął na kolana Poldynkę i przyglądał się tańcom.

— Przynajmniej raz możesz się porządnie wytańcować i swoje nogi rozruszać! — rzekł dobrodusznie do Inger...

Izak zbudził się nad ranem, ale Inger nie było. — Może jest w stajni? — pomyślał. Wstał i poszedł do stajni. — Inger! — zawołał. Milczenie. Krowy obróciły lby

i przyglądały mu się. Cisza zupełna. Z przyzwyczajenia przeliczył bydło, kozy i owce. — Inger! — zawołał ponownie. Ale i teraz milczenie. — «Czyżby poszła z nimi do wsi?» — zastanawiał się.

Noc była ciepła i jasna. Izak zatrzymał się przed chatą, potem poszedł do lasu, żeby odszukać maciorkę. Odnalazł Inger. Ona tu? Tak, Inger i jeszcze ktoś. Siedzieli we wrzosowisku, Inger zabawiała się czapką z daszkiem, rozmawiali ze sobą wesoło. Ho, ho, wesoło... Izak podszedł ku nim pocichu. Inger obróciła się i ujrzała go. Wtedy pobladła, głowa opadła jej na piersi, wypuściła z rąk czapkę, była zdruzgotana.

— Hm! Czy wiesz, że maciorka znowu się gdzieś zapodziała? — przemówił Izak. — Tak, ale tego ty na pewno nie wiesz!

Młody robotnik telegraficzny podniósł swą czapkę i zniknął w bocznym zarośnięciu. — Muszę pogonić za towarzyszami — rzekł. — Ano, dobrej nocy! — powiedział i zniknął. Na pożegnanie jego nikt nie odpowiedział.

— Tak, ty więc tu siedzisz? — spytał Izak. — Czy musisz tu siedzieć?

Odwrócił się i poszedł ku domowi, Inger podniosła się z trudem i szła za nim. Tak tedy wracali, mąż naprzędzie, żona w tyle. Wrócili do chaty...

Następnego dnia, w niedzielę, Izak wciąż jeszcze był nieprzejednany. Krążył poza domem, chodził do tartaku i do młyna, obchodził swe pola, już to z dziećmi, już też sam. Gdy Inger spróbowała raz przyłączyć się do niego, Izak zawrócił w inną stronę i rzekł: — Muszę teraz iść w górę rzeki, muszę tam coś zobaczyć. — Było coś, co go widocznie gryzło, ale dusił to w sobie w skrytości, w milczeniu i nie wybuchał piorunami. O, zaiste, wielki był Izak.

W poniedziałek panowała już atmosfera znacznie łżejsza, i w miarę mijania dni zacierało się powoli nieznośne onej nocy wrażenie. Czas kaleczy i czas leczy. Izak wyszedł na tem jeszcze nienajgorzej, nie miał nawet pewności, czy go istotnie skrzywdzono, nadto inne sprawy zaprzętały jego myśl, wszakże zaczynały się żniwa. A zresztą niedługo przecie linję telegraficzną wykończą, a wtedy znowu zapanuje na osiedlu spokój. Poprzez las wiódł teraz szeroki jasny gościniec, a po jego obu stronach sterczały drągi z drutami.

Następnej soboty, gdy miała nastąpić ostatnia wypłata, urządził się Izak tak, żeby być poza osiedlem. Powędrował do wsi z masłem i serem i wrócił dopiero w nocy z niedzieli na poniedziałek. Robotnicy opuścili już stodołę; czy wszyscy? Prawie wszyscy; ostatni wylazł właśnie z podwórza z wielkim worem na plecach. Po koszyku do wiktualów, stojącym w stodole, Izak jednak poznał, że powietrze niecałkiem jeszcze czyste; gdzie właściciel, nie wiedział i wiedzieć nie chciał — ale czapka z daszkiem spoczywała na koszyku jako dowód gorszący.

Izak wyrzucił na podwórze koszyk i czapkę, potem stodołę na klucz zamknął, poszedł do stajni i przez okno spozierał. — Kosz i czapka! niech leżą! — powtarzał sobie w myśli; nie mnie to nie obchodzi, czyje to. Lichy to koszyk, pluję na niego! — myślał zapewne. Ale gdy po niego przyjdzie, wtedy Izak wyjdzie mu naprzeciw i schwyce go trochę za kark, że aż pozielenieje. I pokaże mu, kędy droga z obejścia.

Po chwili Izak opuścił swój posterunek przy okienku i udał się do krów. Nie miał spokoju. Koszyk związany był sznurkiem; sznur pękł — czyżby Izak za mocno go był schwylił? mniejsza z tem, dosyć, że w Izaku odezwały się nagle jakieś wątpliwości, czy aby naprawdę dobrze postąpił... We wsi będąc, wypytywał się o swój nowy plug, szczególnie masywny, bo przeznaczony do karczowania ugorów na Pustkowiu. Zamówił go swego czasu, i teraz właśnie nadszedł; o, wspaniała to maszyna, ósmy cud świata! I zdalo mu się, że wraz z nią spływa na dom jego błogosławieństwo Boże. Moc wyższa, która kieruje każdym krokiem człowieka, znajdowała się może teraz w pobliżu i śledziła go, czy na ono błogosławieństwo zasługuje lub nie. Izak mózgownicę swoją zaprzętał stale myślą o wyższych mocach, ba, pewnej nocy jesiennej widział w lesie na własne oczy samego Boga; a był to widok niezwykle...

Izak wyszedł na podwórze i zatrzymał się przy obcym koszyku. Namyslał się jeszcze, zsunął nawet kapelusz z czoła i drapał się po głowie, przyczem wyglądał zadzierzyście i zuchowato, niby hidalgo. Ale wtedy zapewne myślał mniej więcej tak: Oto stoję tu, daleki od tego, żebym był człowiekiem wspaniałomyślnym i doskona-

łym; pies ze mnie! — Poczem związał koszyk sznurkiem jak należy, podniósł czapkę i zaniósł wszystko zpowrotem do stodoły na dawne miejsce. Oto stało się.

Ze stodoły wyszedłszy, zwrócił swe kroki w stronę mlyna, precz od swej chałupy, precz od wszystkiego. Inger nie stała przy oknie, nie, nie. Niech tam, niechże sobie stoi, gdzie jej się żywnie podoba, zresztą leży niezawodnie w swem wyrku, bo gdzieżby indziej być miała? Ale dawniej, onych pierwszych lat na osiedlu, przecie inaczej bywało; wtedy Inger niepokoiła się, gdy jego nie było, i oczekiwała przy oknie jego powrotu ze wsi. Teraz dzieje się inaczej, zmieniło się wszystko...

Lecz siedzenie w młynie i przysłuchiwanie się przez całą noc pluskowi przewalającej się wody, to rzecz naprawdę bardzo głupia. Izak nie popełnił przecie nic złego, dlatego opuścił młyn i udał się zpowrotem do chaty...

I teraz dopiero Izak się zawstydził, wstydził się sam przed sobą, a jednocześnie rozradował się. W izbie siedział Brede Olsen, sąsiad, nikt inny, siedział i popijał kawę.

— Ołóż i Izak! — rzekła Inger wesoło, wstając od stołu i nalewając kawę dla Izaka.

— Dobry wieczór! — rzekł Brede.

Izak domyślał się, że Brede uczestniczył również w festynie pożegnalnym robotników telegraficznych.

Tłum. Czesław Kędziński.

SIGBJÖRN OBSTFELDER

(1866—1900)

EWA

Ołowiano-siwe jest niebo, ołowiano-siwe jest morze,
ołowiano-siwe są twe oczy, Ewo.

Długo siedziałaś milcząca,
ściskałaś me dłonie.

Twoje oczy —

niebieskie, gdy śmiało się słońce, śpiewało morze!
Ty jesteś jak natura, Ewo.

Twoje wargi spoczywają na mem czole,
takie zimne.

Twoje ręce spoczywają w mych rękach,
takie zimne.

Twoja pierś oddycha tak ciężko,
— ziemi oddech, lecący ku mej duszy!

Tak, ty jesteś jak ziemia.

Kiedy lśnią się blaski słoneczne,
w twojem oku zjawia się polysk;
kiedy mgły gonią za mgłami,
twe oko jest mętne i zwilgłe.

Nie. Nie chcę mówić nic więcej.

Siedzmy niemi i słuchajmy
morza długich tych ssących westchnień,
w mgieł się wpatrzmy trwożną tę noc.

Ewo!...

SIEJE

I dzień przechodzi ze śmiechem i śpiewem,
i śmierć w noc długą zaprzęta się siewem.
Śmierć — sieje.

Idzie i sieje,
 sieje i sieje —
 tęskne róże, blade tulipany,
 czarne fiołki i chore hiacynty,
 mimozy.

Idzie i sieje,
 sieje i sieje —
 trwożną tęskność, uśmiech blady,
 czarne męki i chore zwątpienia,
 i lzy.

Dzień przechodzi ze śmiechem i śpiewem.
 Śmierć w noc długą zaprzęta się siewem.
 Śmierć — sieje.

UMIEŻ LUSTRO MÓWIĆ

Umieź lustro mówić?
 Lustro umie mówić.

Lustro winno patrzeć na cię co rano
 badawczo,
 patrzeć na cię głębokiem mądrym okiem
 — twojem własnem!
 przywitać cię tem ciepłem, ciemnoblękitnem okiem:
 Jest-żeś czysty?
 Jest-żeś wierny?

Tłum. Alfred Tom.

JOHAN BOJER

(ur. 1872)

Z «WIELKIEGO GŁODU»

...Od kowadła, z ciemności kuźni, wychodził niekiedy za próg, by zaczerpnąć świeżego powietrza, i tam witał go dzień, wielki, szeroki, beztreściwy dzień. — Mężczyzna z młotem kowalskim w ręce spogląda mimowoli w niebo. Odziedziczył to zapewne od swego wielkiego praszczura, który darował ludziom ogień i myśl i nauczył ich powstawać przeciw Bogu. Per przyglądał się niebu i chmurom, które przeciągały w bezmyślnych wirach. Bunt przeciw komuś tam w górze? Wszak niebo jest puste. Niema tam nikogo, przeciw komu możnaby powstać. — A cała krzywda, która się dzieje na ziemi? Kto będzie kiedyś sprawował sąd? Kto? Nikt. Jakto? A te miliony męczenników, którzy zmarli w krwawych torturach, niewinni jak niemowlęta? Czy niema nikogo, kto wymierzy im kiedyś sprawiedliwość? Nie. — Ale istnieje przecie cały świat uciśnionych, których dusze błądzą bezwolnie, gdyż umarli w hańbie, której nie zasłużyli; gdyż przegrali w walce, w której prawo było po ich stronie; gdyż cierpieli i walczyli za prawdę, ale ulegli, gdyż kłamstwo było najsilniejsze. Prawda? Prawo? Czyż niema nikogo, kto kiedyś zmarłym da spokój w ich grobie i postawi rzeczy na ich właściwem miejscu? Czyż niema nikogo? Nikogo. Świat idzie swoją drogą, przeznaczenie jest ślepe, a Bóg uśmiecha się, gdy szatan rzuca się na Hioba. — Milcz i imaj się młota swego, głupcze. W dniu, gdy posiadasz sumienie uniwersalne, umrzesz z przerażenia. Pamiętaj, jesteś kręgowcem, który tylko przez pomyłkę otrzymał duszę. — Dzeń, dzeń, czerwony ogień pryska od kowadła. Znoś życie, jakie jest.

W nim jednak zaczęło tlić osobliwe pragnienie, by złączyć się z wszystkimi nieszczęśliwcami, których zmiażdżył ślepy los, skupić ich dokoła siebie, nie dla wspólnego jęczenia, lecz dla wspólnego zwycięstwa. Nie dla zemsty, lecz dla pieśni nad

pieśniami. Spójrz, wszechmocny wieczysta, jak odplacamy ci twoje okrucieństwo, sławimy życie — czyśmy nie bardziej boscy niż ty? — Świątyni, świątyni dla dzisiejszego, wieczności głodnego człowieka, nie dla jęku modlitewnego, lecz dla hymnu, który człowiek marnotrawnie ciska ku niebu. Czy powstanie on kiedy?

Tłum. Leopold Staff.

SIGRID UNSET

(ur. 1882)

Z «KRYSTYNY, CÓRKI LAWRANSA»

... Usłyszała powolne stąpanie konia w górze drogi, jakieś głosy męskie mówiły jednostajnie i cicho. Tu, gdzie znała każdego człowieka, nie obawiała się nikogo; poczuła się pewniejsza.

Psy ojca pognaly ku niej, zawróciły i pobiegły zpowrotem między drzewa, potem znów popędziły w jej stronę, a ojciec powitał Krystynę głośnem pozdrowieniem, gdy wyszedł z pomiędzy brzoź. Prowadził za uzdę Guldsvejna; do siodła przytroczony był pęk ubitych ptaków, a na lewej ręce niósł Lawrans sokoła w kapturze na głowie. Z nim szedł wysoki pochyłony człowiek w mniszey sutannie, i zanim jeszcze Krystyna ujrzała jego twarz, wiedziała, że to brat Edwin. Poszła tedy na jego spotkanie zgola niezdziwiona, jakby się jej to wysniło; uśmiechała się tylko, kiedy Lawrans spytał, czy poznaje gościa.

Lawrans spotkał go w górze przy moście na Rost i nakłonił go, by z nim powrócił i przenocował we dworze. Lecz brat Edwin chciał koniecznie nocować w stajni. «Jestem laki zdawszony», powiedział, «nie możecie mnie położyć w wasze czyste łoże». I jakkolwiek Lawrans prosił i nalegał, mnich nie odstąpił od swego; naprzód chciał nawet, by mu podano jedzenie na dziedziniec. Wreszcie udał się jednak z nimi do izby; Krystyna przyłożyła drew na ognisko w kącie i postawiła na stole świecę, gdy tymczasem jedna ze sług wniosła jedzenie i picie.

Mnich zasiadł na żebraczej ławie kolo drzwi i jadł tylko zimną kaszę, i pil wodę po wieczerzy. Także, gdy Lawrans zaofiarował się, że mu każe przygotować kąpiel i wyprać odzież, nie chciał tego przyjąć. Brat Edwin tarł się i drapał, a cała jego chuda stara twarz była roześmiana. «Nie, nie», rzekł, «to lepiej kąsa moją dumną skórę, niż biczowania i słowa gwardjana. To lato spędziłem w górach pod jakąś skałą — pozwolono mi wyjść na pustynię, by modlić się i pościć, siedziałem tedy tam w górze i zdawało mi się, że jestem jakimś świętym pustelnikiem. Biedacy z doliny Setny przynosili mi na górę żywność i sądzili, że mają przed sobą prawdziwie pobożnego i czystego mnicha; bracie Edwinie, mawiali, gdyby wielu było takich mnichów jak ty, wnet bylibyśmy lepsi, ale gdy widzimy, jak się księża i biskupi, i mnisi żrą i kłócą między sobą, jak prosiaki nad korytem!... Mówilem ja im wprawdzie, że jest nie po chrześcijańsku tak gadać, ale słuchałem tego chętnie i śpiewałem, i modliłem się, aż echa brzmiały w górach. Będzie teraz dla mnie wielką korzyścią czuć, jak wszy żrą i tarמושą moją skórę, i słyszeć, jak dobre gospodynie, chcące zachować ład i czystość w swych izbach, krzyczą, że ten parszywy mnich może przespać się latem w stodole. Teraz idę na północ do Nidaros na uroczystość świętego Olafa, i dobra to będzie dla mnie nauka, gdy obaczę, że ludziom wcale tak bardzo na tem nie zależy, aby się ze mną stykać».

Ulwhilda zbudziła się, Lawrans podszedł ku niej, wyjął ją z łoża i osłonił swoim okryciem:

«Oto dziecko, o którym wam opowiadałem, drogi ojcze. Połóżcie na nie swe ręce i módlcie się do Boga za tę małą dziewczynkę, tak jakoście się modlili za chłopca z doliny Mel, o którym nam mówiono, że wrócił do zdrowia».

Mnich delikatnie ujął Ulwhildę pod brodę i spojrział jej w twarz. Potem podniósł jej rączkę i ucałował ją.

«Raczej wy się módlcie, ty i twoja żona, Lawransie, synu Björgulfa, byście się oparli pokusie i nie usiłowali ugiąć zamysłu Boga z tem dzieckiem. Nasz Pan Jezus

sam postawił te nóżki na ową ścieżkę, po której krocząc, dziecko może najpewniej wejść w dom pokoju — widzę to po twych oczach, szczęśliwa Ulwhildo, że orędownicy twoi nie z tego są świata».

«Chłopiec z doliny Mel ozdrowiał, jak słyszałem», szepnął Lawrans.

«Był on jedynym synem ubogiej wdowy i niktby go nie odziewał i nie żywił, gdyby stracił matkę, chyba gmina. A przecież kobieta modliła się tylko o nieustraszoną wiarę, że Bóg tak uczyni z chłopcem, jak będzie uważał za słuszne. I nic innego tam nie działałem, jeno o to samo modliłem się wraz z matką».

«Nielatwo jest dla Ragnfrydy i dla mnie tem się zadowolić», rzekł ciężko Lawrans. «Zwłaszcza, że jest taka piękna i miła».

«A widziałeś owo dziecko wdołe na Sidstad», spytał mnich. «Czy chciałbyś raczej, by twoja córka tak wyglądała?»

Lawrans wzdrygnął się i przytulił dziecko do siebie.

«Czy nie sądzisz», ozwał się znowu brat Edwin, «że w oczach Boga jesteśmy wszyscy jak dzieci, których On musi żałować, tak bardzo zniekształceni jesteśmy grzechami. A przecież nie wydaje nam się, by nam najgorzej było na świecie».

Zbliżył się do obrazu Matki Boskiej na ścianie, i wszyscy uklękli, gdy odmawiał pacierz wieczorny. Uważali, że dobrze ich brat Edwin pocieszył.

Ale kiedy wyszedł z izby, by wyszukać sobie jakieś legowisko do spania, Astryda, najstarsza ze sług, wymiotła starannie izbę w każdym miejscu, w którym mnich stał, i prędko wrzuciła zmieciony kurz do ognia.

Nazajutrz wstała Krystyna raniutko, zacerpnęła kaszy, gotowanej na mleku, do czary z pięknie wyciętej karpiny, wzięła placek pszenny — wiedziała bowiem, że mnich nie tyka nigdy mięsa — i sama wyniosła mu jedzenie. Nikt jeszcze prawie nie był na nogach.

Brat Edwin stał gotów do drogi z kijem i sakwą, koło stajni; z uśmiechem podziękował Krystynie za jej trud, usiadł na trawie i spożywał kaszę, podczas gdy Krystyna siedziała u jego nóg. Jej mały biały piesek w podskokach przybiegł do niej, aż zadzwoniły dzwoneczki na jego obroży. Wzięła go na kolana, a mnich przytkał palcami przed jego mordką, rzucał mu małe kęsy placka i chwalił go bardzo.

... Brat Edwin chwycił kij i sakwę i prosił Krystynę, by pozdrowiła ludzi, śpiących jeszcze w izbie — nie chciał czekać aż wstana, tylko iść póki dzień był chłodny. Odprowadziła go aż poza kościół i kawałek w las.

Pożegnał ją pokojem Bożym i błogosławieństwem.

«Ostawcie mi jakieś słowo, tak jakście zostawili Ulwhildzie, drogi ojcze» — prosiła Krystyna. Stała i trzymała jego rękę.

Mnich przesuwając swą nagą pokrzywioną przez dnę stopę po trawie.

«Chcę ci tedy rzec, córko, byś dobrze baczyła, jak Bóg wszystko tu w dolinie obróci dla dobra ludzi. Niewielkie tu padają deszcze, ale dał On wam wodę z gór, byście ją kierowali na wasze pola, a rosa co noc odświeża łąki i role. Dziękuj Bogu za dobre dary, które ci dał, i nie skarż się, jeżeli sądzisz, że ci czegoś innego brak. Masz piękne jasne włosy, nie martw się tem, że nie są kędzierzawe. Czyś nie słyszała o owej kobiecie, która płakała, bo miała tylko mały kawałek słoniny dla swych siedmiorga głodnych dzieci na ucztę wigilijną? Święty Olaf przejeżdżał właśnie tamtędy; położył tedy rękę na misie i prosił Boga, by nakarmił małe biedne robaki. Ale gdy wdowa ujrzała, że na stole leży ubity wieprzak, zaczęła płakać, bo nie posiadała dość garnków i mis».

Krystyna pobiegła do domu, a Kortelin płatał się koło jej nóg, chwycił, poszczekując, za rąbek jej sukni i dzwonił wszystkimi srebrnymi dzwoneczkami.

Tłum. Wanda Kragen.